LUCJAN WAŻNY
ur. 1921; Żółkiewka

Miejsce i czas wydarzeń	Żółkiewka, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	dzieciństwo, rodzina i dom rodzinny, życie codzienne, święta, Boże Narodzenie, tradycje świąteczne, potrawy świąteczne, Wigilia, pasterka

Potrawy świąteczne, wieczerza wigilijna i pasterka

Przede wszystkim nie było obyczaju, że w kilka rodzin było się w wigilię. Wtedy raczej tylko jedna rodzina urządzała swoją wieczerzę. Nas było pięcioro, bo był ojciec, mama i troje dzieci. Ja, mój brat młodszy, i siostra. No i co, przede wszystkim było świniobicie. Tak. Przychodził taki masarz tak zwany, i robiło się szynki. Jedną szynkę to zawsze dawało się do wędzenia. W domu tego się nie robiło. Kiełbasy do wędzenia. Salcesony. On przez dwa dni robił wędliny. Później wędlin to było tyle, że zawsze na całą zimę wystarczało. Druga szynka to było coś nadzwyczajnego. Tego nigdzie się teraz nie dostanie. Bo drugą szynkę to robiła sama mama. W piecu chlebowym się piekło. Najpierw trzeba było mieć mąkę żytnią, rozwałkowało się to, zrobiło się taki ogromny placek, położyło się tam szynkę i się tak jak pierogi otoczyło całą tą szynkę. I do pieca chlebowego. I później, jak się wyjmowało, to straciło kolor, nie była taka czerwona ta szynka, była taka szara, ale była cudowna, bo była aromatyczna i wilgotna. To była druga szynka zawsze na Boże Narodzenie. I kiełbasy. To już ten masarz, który chodził tam po domach i to robił, to też zabierał do wędzenia, gdzieś tam do siebie. Ale część robiła mama. Mianowicie, z najcieńszych jelit, bo to się przez klucz przepychało mięso, ale najpierw trzeba było dobrze wymyć te jelitka. I zakładało się na duży klucz, który miał na końcu kółko, i przez to się przepychało mięso, to nadzienie. To nie przez maszynkę do mięsa, bo już maszynka w domu była, tylko się wyciskało mocno mięso na kiełbaski. To było suche mięso, nie tłuste. I do pieca chlebowego. I jak to się już upiekło, aromat był na cały pokój, na całą kuchnię. I jak to wyschło, to to się łamało, to wcale się nie krajało nożem. Łamało się tak. To był ogromny dla mnie przysmak, te kiełbasy. Tych wędlin to było zawsze dużo, bo to z całego wieprza było.

A jak wyglądała wigilia? Przede wszystkim nie wolno było jeść. Mama nie pozwoliła nigdy, bo jadło się dopiero na wigilię. I przez pierwszą część wigilii, od południa do wieczora, to kiszki marsza grały, ale nie wolno było niczego ruszyć. No poza tym było

masę wypieków. Bułki, bułeczki, pyszne serniki, makowce. Świetnie zrobione. Na przykład teraz mak to można ucierać w mikserze, tak? A przedtem to się wałkiem w donicy ucierało tą masę na makowiec. Bułeczki nadziewane jakimś tam dżemem. No było tego dość. A najlepsza była dla mnie taka długa bułka, w takiej brytfannie bardzo długiej, i w środku były rodzynki!
Wigilia wyglądała w ten sposób. Przede wszystkim cała rodzina się kąpała. Znaczy ojciec i mama nie, bo oni kąpali się poprzedniego dnia. Ale ja z bratem właziłem do wanny. Nie było wanien takich tych kamiennych, tylko była bardzo duża wanna zrobiona z blachy i drzewa. Znaczy było drzewo, podłoga była w tym, a przykryte było wszystko i ocynkowane grubą blachą. I w tym myśmy się z bratem obydwaj mieścili. To trzeba było się dobrze wykąpać przed wigilią. A później był drugi nalew wody. To trzeba było wodę przecież gotować w garach takich olbrzymich. A później moja siostra się kąpała najmłodsza. Rodzice, mówię, poprzedniego dnia się kąpali. No i zaczynało się wigilię. A kiedy? Kiedy zabłysła pierwsza gwiazdka. Jak nie było nieba gwiaździstego, to ojciec wyznaczał termin, kiedy zaczynamy, kiedy już było ciemno. Trzeba pamiętać, że jeszcze dzień przed tym ustrajało się choinkę. Na tej choince były różne takie łańcuchy barwne, ale przede wszystkim było to, co można było zjeść. Więc były cukierki, orzechy włoskie, niektóre pomalowane nawet były na złoto czy na srebrno. Mama robiła specjalne ciasta z dziurką w środku, takie co się wieszało. Tak że można było zawsze sobie takie ciasto wziąć z choinki. Świeczki nie było elektrycznej, bo nie było jeszcze elektryczności. No i zasiadało się do wigilii. Ale przedtem trzeba się było pomodlić. Wszyscy klękali i odmawiali pacierz. I później siadaliśmy do jedzenia, bo to już nie można było wytrzymać z głodu. Co było na wigilię? Zwykle było typowo. Dwa rodzaje śledzi. Jeden w takiej oliwie albo w oleju nawet rzepakowym, bo nie zawsze oliwa była, nie pamiętam tego, bo ja wiem, że w oleju rzepakowym to było. Z cebulką, jakoś tam zrobione, przyprawione. A drugie były śledzie w śmietanie. Dwa rodzaje. Potem szły ryby. To najpierw były ryby faszerowane, najczęściej szczupaki. To pamiętam nawet jak to mama ściągała tą skórkę z tego szczupaka, i w to się później napychało tam te ingrediencje wszystkie. I był sos specjalny. Albo się robiło ryby w galarecie. Jak już się trochę podjadło, to przychodziła ryba smażona. Najczęściej był to karp. Po tym barszczyk z uszkami, z prawdziwymi grzybami. Zresztą tam w tym barszczu było sporo grzybów. Po tym barszczu była przerwa zawsze, 20 minut, 30 minut. I była tak zwana kutia. To z pszenicy jest, kasza pszenna z miodem, z różnymi tam przyprawami… Cóż więcej? Kompot, zawsze z suszonych owoców, przeważnie z jabłek i gruszek. Tym się popijało. Świetny był. Teraz to ja robię na wigilię tutaj taki owocowy kompot, mieszankę, różne owoce kroję, i to też jest wspaniałe. I ciasta najróżniejsze. I na tym się kończyło. I nie piło się na wigilii ani kawy ani herbaty. W ogóle kawy nie pijało się u mnie w domu.
No i cóż? Wtedy trzeba było iść na pasterkę. Bo wieczerza to trwała tam dwie godziny, tak, i czekaliśmy wszyscy na pasterkę. Jak przychodziła godzina 12 to ja z

ojcem wychodziłem, a mama była taka zmęczona, że kładła się spać. Dzieci, moje młodsze rodzeństwo, też już chciało spać. A ja na pasterkę. I wychodziliśmy trochę wcześniej, bo to było niesamowite widowisko. Bo ze wszystkich wsi zjeżdżali chłopi saniami, jeżeli była zima, a zwykle była wtedy zima. Czasami się zdarzało, że była tylko gruda tak zwana, że był mróz, ale nie było śniegu, ale to już wyjątkowo rzadko. Raczej były bardzo śnieżne zimy. To było dopiero widowisko, jak te sanie, setki sań, bo były takie chłopskie sanie, ciężkie, i były takie sanie wyjazdowe, niektóre były nawet metalowe te sanki, ale to już rzadko było. Ale co było, konie. Bo to wszystko stawało wokół kościoła. Kościół był otoczony murem. Te konie kwiczały, parskały, a chłopi tam odwiązywali je od tych dyszli i dawali coś tam do jedzenia, siano czy jakiś obrok, i żeby łby miały tam w tym worze. To był niesamowite widok, i zawsze, wszystkie te wozy, sanie były malowane. Tak, to barwne wszystko było. No i szliśmy z ojcem na pasterkę. Wchodziło się na chór takimi krętymi schodami, tam już stał chór ojca, bo miał wspaniały chór, już czekał na górze, a ja szedłem do miechów. Bo organy były na powietrze, to trzeba było to powietrze mieć. To były takie olbrzymie skórzane miechy. Ale to było długości tam dwa, trzy metry, wysokości też około metra były, i obok była taka rączka. I to się tą rączką ruszało i te miechy rosły powyżej mnie, tak. Miały około dwóch metrów wysokości jak były napompowane. Stamtąd to powietrze szło do tych trąb wszystkich, piszczałek organowych, bo teraz to elektryczne, to miechy nie są potrzebne, ale to, ja wiem, czy postęp wszędzie jest taki dobry? Nie mam pojęcia. W każdym razie mnie się wydaje, że głos jest już inny. Więc ojciec siadał przy organach. Na organach gra się i rękami i nogami. Bo na dole są pedały, podobnie do fortepianu, bo fortepian ma te dwie takie łapki, a tu jest ich dużo. To jest trudna gra na organach. Ja się trochę nawet nauczyłem. No i ojciec podawał ton, a tu widowisko było niesamowite. Bo to była głowa przy głowie, z góry jak się na to patrzyło. Poza tym, prawie wszyscy byli w kożuchach. I to były przeważnie baranie kożuchy. I ten specyficzny zapach tych kożuchów to ja do tej pory pamiętam. No, ojciec podawał ton na organach i kościół zaczął śpiewać. Zwykle to było „Wśród nocnej ciszy”. Baby niesamowicie piszczały, śpiewały, te kolędy. A chłopi to zwykle byli z tyłu kościoła i porykiwali tam basem sobie tak jak to zawsze, chłopy to już gorzej. No i wtedy, jeszcze ksiądz szedł, przy zakrystii była taka wstążka z dzwonkiem, to już wtedy ministranci pociągali za to i wchodził ksiądz. Tu cały kościół śpiewa, rzeczywiście to się niosło na pola i lasy. Rzeczywiście, śpiewali z całego serca. I była normalna msza. Zupełnie inna niż teraz, bo wtedy odprawiano po łacinie. Pasterka to była dość długa, bo to była długa opowieść ewangeliczna. No i cóż więcej? Człowiek był już zmęczony, ojciec był zmęczony, i szliśmy do domciu potem, to była godzina jakaś druga w nocy. Bo rano trzeba było wstać, bo ojciec znów szedł grać na pierwszą mszę.

Chodzili też ci kolędnicy. Z kozą, tak. Z kozą, czyli nakładał sobie na głowę taki jakby kask i tu miał pysk kozi, i klepał tylko tymi dwoma ustami drewnianymi. I szopka była. W tej szopce to była betlejemska stajenka, Chrystus tam sobie leżał i coś tam ci

kolędnicy śpiewali, kolędę jakąś zwykle śpiewali. Tak, to chodzili. A starzy to robili widowisko z Herodem. To mówili: „Chodzą z Herodem”. To była i śmierć z kosą, która ucinała głowę temu Herodowi, która była tam specjalnie przyczepiona do tego. Dobrze to pamiętam. Takie były tradycje. Poza tym, w drugi dzień świąt to zaczynały się odwiedziny familijne. Wtedy dopiero przychodzili goście, krewni, kuzyni, sąsiedzi, ale Żyd żaden nie przyszedł.

Data i miejsce nagrania	2012-04-24, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Transkrypcja	Maria Radek
Redakcja	Maria Radek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"